

List z podróży do Ameryki

Przewaga charakteru politycznego i informacyjnego nad literackim stanowi poniekąd główną różnicę między prasą amerykańską a europejską



przewaga charakteru politycznego i informacyjnego nad literackim stanowi poniekąd główną różnicę między prasą amerykańską a europejską

III. Pobyt w New Yorku

Marmury, brązy, dywany, zwierciadła: oto hotele amerykańskie. W New Yorku są to obok banków i poczty najpiękniejsze budynki miejskie. Prócz numerów przeznaczonych do najęcia, w każdym hotelu znajduje się mnóstwo ogromnych sal, gdzie goście mogą przyjmować swoich odwiedzających, i buduarów urządzone z książącym przepychem, przeznaczonych dla kobiet. "Central Hotel", w którym zatrzymałem się na parę dni, jest to pod względem ogromu prawdziwe małe miasteczko, prócz gości bowiem stałych i nocowych mnóstwo osób z miasta zbiera się wieczorem w jego wspaniałym przedsionku dla czytania gazet, spotkania się ze znajomymi, palenia lub żucia tytoniu, wreszcie dla pokołysania się na jednym z biegunowych krzeseł, których tu mnóstwo.

Leży on na ulicy Broadway, największej i najruchliwszej ulicy New Yorku, odznaczającej się szczególnie swoją długością. Wieczorem, gdy tu przybyłem, zwiedzać już miasta z powodu spóźnionej pory nie mogłem, musiałem więc zadowolić się tylko zwiedzeniem hotelu, po czym wraz z towarzyszami udaliśmy się do dining-roomu, tj. do sali jadalnej.

Jest to istotnie ogromna sala, mogąca pomieścić kilkaset osób, urządzona z przepychem, ale bez smaku. Słupy podpierające sklepienie są marmurowe, ale zbyt grube i niskie, pułap za ciężki, wejście zaś jak do stodoły. Ogromne drzwi, podwójne, z okrągłym wierzchem, przypominają zupełnie wieżeje.

Trzy razy dziennie schodzą się tu wszyscy mieszkańcy hotelu. Za jedzenie w hotelach amerykańskich nie płaci się osobno, ale kosztą jego wliczone są w cenę numeru. Każdy z gości wynajmujących numera

ma tu prawo przyjść pięć razy dziennie i jeść, co mu się podoba, bez żadnej osobnej dopłaty, większość jednak schodzi się tylko na brekfest, lunch i obiad wieczorny. Przy stole goście rozmawiają ze sobą jak znajomi, co jednak nie pociąga za sobą bliższych stosunków. Po skończonym posiłku wstają i rozchodzą się, gdzie kto chce, nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo, jak również nie czekając jedni na drugich. Mnóstwo kobiet przychodzi bez mężczyzn, mnóstwo bowiem nawet panien podróżuje bez żadnej opieki. Wszystkie stroją się tak, jak nigdzie w Europie, wszystkie przychodzą bez kapeluszków; dlatego obiady, zwłaszcza wieczorem, wyglądają jakby obiady proszone i nader ceremonialne. Służbie nie daje się tu nic. Składa się ona we wszystkich prawie hotelach wyłącznie z Murzynów. Należy to do mody, a przy tym kolorowa posługa zapewne taniej kosztuje od białej. Przy każdym stole stoi dwóch lub trzech Murzynów o głowach podobnych do głów czarnych baranów. Są to ludzie bardzo grzeczni, usługują szybko i wprawnie, wyglądają zaś we frakach i białych krawatach, jeżeli nie pięknie, to przynajmniej nader oryginalnie. Zresztą usługa tu nie jest trudna. Według zwyczajów amerykańskich przed każdym z gości stawiają tu mnóstwo porcelanowych miseczek ze wszelkiego rodzaju jadłem od razu. Masz przed sobą od razu zupę, mięsiwa, ryby, jaja, pudzinki, pomidory, kartofle, lody, poziomki, jabłka, migdały, kawę, słowem: niezliczoną ilość dań w małych dozach. Zaczynaj, skąd chcesz, jedz, co chcesz, nikt tu na to nie patrzy. Murzyn stoi nad tobą jak kat nad dobrą duszą i ustawicznie dolewa ci wody z lodem w szklanę, skoro ją tylko wypijesz, odpowiadając niezmiennym: "Yes, sir!" na wszystkie twoje żądania. Skutkiem tego systemu w jedzeniu wszystko tu jada się zimne, skrzepłe, zdębiałe, nawet w najlepszych restauracjach. Kuchnia amerykańska jest najniegodziwszą kuchnią na świecie. Nie chodzi jej o to wcale, żebyś zjadł zdrowo i dobrze, ale o to, byś zjadł jak najprędzej i mógł wrócić do business; wszystko więc

obliczone jest na łap cap i tylko wieczorne obiady podają ci cokolwiek staranniej, wieczorem bowiem wszelki business kończy się wraz z uderzeniem piątej godziny.

Pierwszego dnia przyjazdu, zamiast siąść w reading-roomie i zacząć pisać studia o obyczajach amerykańskich, jak to uczyniła pewna korespondentka do jednego z pism warszawskich, która od razu, przez cudowną prawdziwie intuicję obyczaje te zgłębić potrafiła, wyszedłem na miasto przypatrzeć się choćby przelotnie wszystkiemu. Prawda, że w nocy nie doznałem tak silnych wrażeń, jak rzeczona korespondentka, której wystrzały rewolwerowe strzelających sobie we łby Amerykanów oka zmrużyć nie dały, nie tylko pierwszej, ale i następnych nocy jej pobytu w Stanach Zjednoczonych. Co do mnie, spałem tak spokojnie, że mimo woli przychodzi mi wątpić, aby te ustawiczne nocne odgłosy, które słyszała korespondentka, miały istotnie tak tragiczne znaczenie; nie przesądzając jednak ostatecznie tej kwestii, od razu wyszedłem na Broadway i puściłem się na miasto.

New York nie tylko nie zachwyił mnie, ale rozczarował potężnie. Każde z europejskich miast ma jakąś swoją osobliwość, którą istotnie widzieć warto: Paryż ma ich tysiące, Londyn również, Wiedeń ma swego Stefana, Berlin swego Kaulbacha, Bruksela – Wiertza i Św. Gudulę, Wenecja – swoje kanały, Rzym – papieża i Rzym starożytny, Kolonia – tum najpierwszy na świecie, Kraków – Wawel i Matejkę, Warszawa – dobre chęci, którymi jest brukowaną, wielkich ludzi do małych interesów, najdłuższe na świecie języki, Saski Ogród i dobro społeczne w kształcie dziurawego orzecha, na którym świszczę, kto chce i jak mu się podoba. Wszędzie jest jakaś tradycja, wszędzie z murów patrzy na ciebie, jeśli nie czterdzieści wieków, jak było raz powiedziane na pewnym obiedzie dla jednego z jubilatów

warszawskich, to przynajmniej kilkanaście, wszędzie widzisz historię zakrzepłą w mur i kamień, wszędzie pewną odrębność narodową, wszędzie jakiś wielki ideał, którego początek w mrokach przeszłości. W New Yorku nie ma tego wszystkiego. Główne ciekawości miasta to hotele i banki, czyli inaczej mówiąc: nie ma tu żadnych pamiątek historycznych, żadnych ciekawości. Historii Stanów Zjednoczonych szukaj w Waszyngtonie; w New Yorku masz tylko kupców. Handel, handel i handel, business i business, oto, co widzisz od rana do wieczora, o czym ustawicznie słyszysz i czytasz. Na rzut oka nie jest to miast zamieszkane przez taki a taki naród, ale wielki zbiór kupców, przemysłowców, bankierów, urzędników, kosmopolityczny zarwaniec, który imponuje ci ogromem, ruchliwością, przemysłową cywilizacją, ale nuży cię jednostronnością społecznego życia nie wytwarzającego nic więcej prócz pieniędzy. Chcąc opisać to miasto, nie wiedzieć, od czego zacząć, gdzie zaczepić myśl i oko; jedna ulica podobna do drugiej, wszędzie ruch, gwar i ścisk, tłumy powozów i omnibusów; mieszkańcy śpieszą się z gorączką na twarzy i w ruchach, jak gdyby mieli pomieszenie zmysłów. Pośpiech ten widzisz wszędzie: w budowie domów, ulic, chodników. Jedno zrobione i doprowadzone do możliwej doskonałości, drugie zaledwie poczęte. Oto np. Broadway: domy tu podobne do londyńskich, obok hotelu zbudowanego z białego marmuru od dachu aż do fundamentów stoją czerwone ceglane domy, tam dalej plac pusty ze znakami pogorzelska; wczoraj tam był pożar, dziś postawią nowy gmach, a jak się ten jutro spali, to pojutrze znów będzie inny. Tam oto kościół, w którym ludzie chwalą Pana Boga becząc jak cielęta, w innym znów rżą, w innym modlą się po katolicku. Ale kościoły te zamknięte, bo to dzień powszedni, więc business nie pozwala się modlić. Zresztą kościoły nie odznaczają się ani wielkością, ani starożytnością, rzekłbyś: także zbudowane naprędce. Koło kościołów małe cmentarzyki, które tu więcej niż gdzie indziej są miejscami wypoczynku; dalej sklepy pogrzebowe, businessy w trumnach i nagrobkach, dalej znowu ulica. Wystawy sklepowe nad

podziw świetne i bogate, ale urządzone bez smaku. Na chodnikach przed lustrzanymi szybami sklepów leżą kupy śmieci. Miasto zabłocone, brudne, źle wybrukowane; miejscami stoją małe kałuże czarnego błota, które nie może spłynąć przez zatkane ścieki ku morzu. Mnóstwo papierków, szczątków z gazet, podeptanych skórek z jabłek i pomarańcz leży wszędzie, tak na chodnikach jak i na środku ulicy, między pysznymi powozami, omnibusami – jeżdżą wozy ładowne ogromnymi pakami towarów lub przechadzają się świnie, nie wiadomo do kogo należące, z powystrzępianymi przez psy uszami. Świń tu mnóstwo. “Oto jedna z nich – mówi pan Dickens w swym opisie New Yorku – patrzcie jak przedziera się między powozami i przechodzącymi. Ma jedno ucho, drugie oberwały psy w zaciętej walce na placu, gdzie okazała nadzwyczajne męstwo. Szanowna ta świnia postępuje zupełnie tak, jak przystoi na dorzecznego człowieka z liczby tych, co to żyją tak zwanym traktierskim życiem. Co rano w pewnej godzinie wychodzi z domu, wędruje po mieście, je, co się trafi, a wieczorem akuratnie staje przed bramą swego domu. Jest niedbałą, leniwą, wysoko ceni swą niepodległość, nienawidzi wszelkiego przymusu i jak z równą obchodzi się z każdą inną świnia” itp.

Teraz jest zapewne już mniej tych stworzeń, niż było za czasów pana Dickensa, ale i teraz spotkać ich można więcej niż w dziesięciu europejskich miastach, zwłaszcza w dolnych ulicach New Yorku. Krótko mówiąc, nie widziałem, jak żyję, miasta nieporządniejszego i z góry zapowiadam, że wszelkie usiłowania w tym kierunku municypalności warszawskiej nie przyprawdzą do żadnego rezultatu: New York będzie miał zawsze pierwszeństwo, choćby ze względu na swoje położenie portowe.

A jednak żadne może z miast europejskich nie wydaje tyle na utrzymanie porządku i na potrzeby miasta, ile New York; ale na nieszczęście, jak inne dykasterie urzędowe, tak i municypalność tutejsza składa się z tak biegłych w zawodzie swym złodziejów, że wobec nadużyć ich błedną wszelkie europejskie grynderstwa. Jeżeli np. w jakim z miast europejskich z oficjalnego ratusza rodzi się prywatne ratusiátko, to tu oficjalna mysz musi urodzić prywatną górę, choćby sama mysz miała nie wytrzymać porodu. Grosz publiczny i dobro publiczne są tu niczym więcej, jak tylko tłustością, którą smarują sobie buty ci, co chcą suchą nogą przejść przez błoto.

Później będę jeszcze miał niejednokrotnie sposobność powrócić do podobnego rodzaju nadużyć, jako też i do przyczyn, które te nadużycia wywołują, teraz zaś wracam do opisu miasta. Jesteśmy zawsze jeszcze na Broadway. Niedaleko City Hall wznosi się wspaniały gmach pocztowy, urządzony jak nigdzie na świecie. Każdy większy sklep, każda kompania, każdy nawet prywatny zamożniejszy mieszkaniec ma tu swoją osobną skrynkę, oznaczoną pewnym numerem, do której zagląda codziennie, znajdując listy, przesyłki, a nawet i pieniądze. Podobne urządzenia istnieją tu i w bankach. Za pewną roczną opłatą dostaje się tu wpuszczaną w granit żelazną szufladę, zamykaną na nader skomplikowany zamek, w której można przechowywać najbezpieczniej w świecie papiery, złoto, kosztowności i tym podobne. Przechowujący przychodzi, kiedy chce, wyjmuje, ile chce, dokłada, ile chce, odcina kupony wtedy, kiedy mu się podoba; słowem: trzymając swoje pieniądze w banku, jest ich panem każdej chwili. Od złodzieja strzegą tu najpierw zamki, potem kraty, a na koniec i strażę. Ognia zaś gmachy te, massiv murowane, obawiać się nie mają potrzeby.

Niedaleko City Hall, w kamienicach otaczających square, czyli piękny wirydarz, mieszczą się redakcje takich potężnych dzienników, jak: "Herald", "Tribune", "Times" i "Staats-Zeitung". Wszystkie te dzienniki odbijają setki tysięcy egzemplarzy dziennie z pomocą maszyn, które nie mają równych sobie w całej Europie. "Herald", własność rodziny Bennetów, uważa się dotychczas za najpierwszy dziennik amerykański. Przynosi on miliony dolarów rocznie właścicielom, zatrudnia tysiące ludzi. Redaktorowie jego uważani są za najpierwsze potęgi w kraju, z którymi tak rząd jak i pan prezydent bardzo rachować się muszą. Niezmiernie liczne linie telegrafów przynoszą tu codziennie wiadomości z całego świata i całych Stanów Zjednoczonych. Często zdarza się, że o sprawach nawet europejskich nie tylko "Herald", ale i "Tribune", i "Times", który dawno wyścignął angielskiego, mają wiadomości i wcześniejsze, i dokładniejsze od dzienników europejskich.

Całe armie reporterów opłacanych na wagę złota i rozproszonych po całym świecie czuwają, żeby nic godnego uwagi w świecie nie uszło ich wiadomości; ale też nakład tygodniowy pierwszego lepszego z tych dzienników przynosi nakład roczny wszystkich np. razem wziętych pism warszawskich.

Między reporterami "Heralda" znajdują się takie znakomitości, jak np. Stanley, który teraz kosztem redakcji przebiega wewnątrz Afryki. Amerykanie z dumą mówią, że wielu nawet ministrów europejskich przesyła w charakterze reporterów wiadomości polityczne do ich dzienników. Oczywiście jest to bajka, dowodząca jednak, na jak wielką skalę prowadzą się tu wydawnictwa polityczne.

A jednak pod względem obrobienia literackiego dzienniki te ustępują europejskim. Talent pisarski nie odgrywa tu dotychczas tak wielkiej roli jak w Europie. W całej prasie periodycznej przeważa charakter informacyjny nad literackim: pośpiech i dokładność w otrzymaniu wiadomości uważa się tu za rzecz najważniejszą; dlatego dzienniki są raczej agencjami niż ogniskami skupiającymi siły literackie. Osobistości giną tu w ogólnym organizmie dziennika, tak że pisarze mają niejako znaczenie komisantów, których skutki działalności są zbiorowo wzięte ogromne, ale których imiona rzadko pod względem czysto literackim wybić się na wierzch mogą.

Ta przewaga charakteru politycznego i informacyjnego nad literackim stanowi poniekąd główną różnicę między prasą amerykańską a europejską. Odpowiada ona dokładnie charakterowi i usposobieniom ludu amerykańskiego, który w dzienniku szuka pozytywnych, związanych z interesami politycznymi, przemysłowymi i handlowymi wiadomości, nie zaś stylistycznej okraszy, dowcipu lub pisarskiego polotu.

Z drugiej jednak strony, z tej jednostronności ludu jak i jego organów wypływa to, że kiedy u nas np. prenumerowanie dziennika odpowiada więcej potrzebom czysto umysłowym i uważa się poniekąd za zbytek, bez którego większość mieszkańców po bohatersku obchodzić się umie, w Ameryce dziennik stanowi tak realną potrzebę każdego człowieka, jak np. chleb. Tym się tłumaczą owe miliony czytelników i tysiące pism wychodzących nie tylko w większych miastach, ale częstokroć nawet we wczoraj założonych osadach.

Z redakcji dzienników przejdźmy teraz na Wall street (Uolstrit), ulicę niewielką, dość ciasną, ale może jeszcze od Broadway ważniejszą. Jest to ulica bankierów. Od samego rana ludniej na niej niż na Broadway. Tu mieszczą się skarby, za które można by zakupić całe kraje. Rozmaite domy handlowe robią tu rocznie transakcyj na sto siedemdziesiąt miliardów franków; o której to sumie dopiero wówczas będziemy mieli jakie takie pojęcie, gdy przypomnimy sobie, że pięcioma tylko miliardami Bismarck miał nadzieję zrujnować na zawsze Francję. Na pozór jednak nic nie zdradza ważności tej dzielnicy, chyba tysiące ludzi, zgorączkowane ich twarze i pośpiech, z jakim witają się, mówią i żegnają, wskazuje, iż dzieją się tu rzeczy ważne, dla nich zaś najważniejsze na świecie. Tu także mieści się stock-exchange, czyli giełda albo jeszcze, jeżeli kto chce: szpital wariatów cierpiących na febris aurea. Spokojnego widza strach przejmuje na widok tego, co się tu dzieje! Gwar tu, wrzask i wrzawa taka, jakby za chwilę miało przyjść do bitwy. Widzisz zaczerwienione twarze, słyszysz ochryple głosy. Ludzie przyskakują do siebie i krzyżąc jakby w napadzie maligny, wytrząsają sobie pięściami przed oczyma. Jeden stara się przekrzyknąć drugiego. Sądzisz, że tłumy te ogarnęła naraz niewytłumaczona wściekłość, pod wpływem której natychmiast poczną się mordować wzajemnie. I któż by domyślił się, że jest to nic więcej, jak tylko sposób porozumienia się handlowego, a owe krzyki i wywijania pięściami służą tylko do tego, żeby się dać lepiej zrozumieć. Gdy wreszcie ozwie się dzwonek prezesa na znak, że obroty się kończą, po jakimś czasie ciż sami ludzie wychodzą spokojnie, trzymając się wzajemnie pod rękę.

Prócz banków, prócz stock-exchange, goldroomu (izby złotej) i innych giełd: zbożowych, wełnianych i bawełnianych, na całej Wall street nie masz zresztą nic godnego widzenia. Schodzimy teraz trochę na dół ku ulicom portowym. Ruch tu mniejszy, nieporządek jeszcze większy,

błoto częstokroć nie pozwala przejść przez ulicę. Między ludnością spotykamy coraz więcej Murzynów. Są to furmani, wyrobnicy, tragarze towarów itp. Ubrani są po największej części tylko w spodnie i flanelowe koszule. Wełniste głowy ich, nie znające grzebienia ani nożyczek, wyglądają jak kłęby czarnej wełny. Niektórzy z nich pracują, inni stoją przed domami, z rękoma w kieszeniach, nic nie robiąc, paląc krótkie fajki, poruszając szczękami wypchanymi tytuniem i gapiąc się na przechodzących. Wyglądają wszyscy brzydko i niechlujnie. Kobiety, jeszcze brzydsze, różnią się zresztą od mężczyzn, nie noszących zarostu, więcej ubiorem jak twarzą, mają bowiem także same spłaszczone nosy, także same krótkie wełniste włosy i czarną skórę. Czarne owe ladies również są brudne jak i ich dżentelmenowie i na głowach nie noszą kapeluszków, a natomiast noszą wszelkiego rodzaju pakunki, towary, naczynia, a nawet i zapasy żywności. Tam, gdzie biały człowiek posługuje się plecami i rękoma, czarny najczęściej używa głowy, która widocznie stanowi najtwardszą część jego organizmu. Widziałem Murzynkę, która kupiwszy pomarańczę, natychmiast zamiast nieść w rękę, umieściła ją w czuprynie. Pomarańcza chwiała się wprawdzie cokolwiek na prawo i na lewo, ale otoczona tęgą, pokręconą wełną, spaść nie mogła. Widząc że patrzę na jej głowę, czarna miss zaczęła podskakiwać wraz z pomarańczą, na koniec wykrzyknawszy: "All right, sir!" – ukazała mi szereg białych wielkich zębów i oddaliła się, bardzo zadowolona ze swej zręczności.

Obok Murzynów w tych dzielnicach miasta tulą się także w mizernych, brudnych nad wszelki wyraz i ciasnych domach biedni emigranci, którzy zwabieni wieścią o łatwym zarobku w Ameryce, przyjechali tu mając zaledwie czym opłacić przewóz za Ocean. Zarobek w Ameryce istotnie nader jest łatwy, ale w głębi kraju, na Dalekim Zachodzie; w samym zaś New Yorku panuje przeludnienie i dlatego najbiedniejsi właśnie z emigrantów, którzy nie mają czym opłacić dalszej, bardzo

kosztownej kolejami podróży, mrą z głodu, chłodu i wszelkiej nędzy. Dzielnice te przypomniły mi zaułki londyńskie, z tą różnicą, że tu stokroć jeszcze brudniej, a ludność, stanowiąca szumowiny proletariatu wszelkich narodów, gorzej jeszcze wygląda od londyńskiej. Wszelkie choroby epidemiczne i nieepidemiczne dziesiątkują ciągle tych nieszczęśliwych, którzy, gdyby dostali się do stanów zachodnich, mało zaludnionych albo miejscami wcale nie zaludnionych, wytworzyliby ludność roboczą, również dla państwa jak i dla cywilizacji pożyteczną.

Jedynym ratunkiem dla tych ludzi jest zaciąganie się do wojska, ale ratunek to bardzo niedostateczny, naprzód dlatego, że cała armia Stanów Zjednoczonych liczy tylko dwadzieścia pięć tysięcy żołnierzy, a po wtóre, że do wojska mogą się zaciągać tylko ludzie młodzi, nie obciążeni rodziną. Większość więc żyje bez stałego zarobku, dorywczo, patrząc z zawiścią, a zapewne i nienawiścią na milionerów, którzy już sami nie mogą porachować swych majątków.. taki stan rzeczy liczne wywołuje między tym proletariatem przestępstwa i zbrodnie, spełniane już to dla chęci chwilowego zysku, już wreszcie, jak mnie zapewniano, z tym tylko wyrachowaniem, żeby się dostać do więzienia, w którym każdy z winowajców ma przynajmniej życie i pożywienie zapewnione.

Znakomitą większość owych nieszczęśliwych stanowią Irlandczycy, których w całych Stanach ma się do dziesięciu milionów znajdować. Łatwo ich poznać na pierwszy rzut oka, już to po ubiorach, a raczej po szczątkach narodowego ubioru, już wreszcie po niebieskich oczach, pięknych blond lub ciemnych włosach, silnej budowie ciała, żywości czysto galijskiej w mowie i ruchach, które to cechy tak silnie odróżniają tę rasę od anglosaksońskiej, że prawie omylić się nigdy niepodobna. Oddając się pijaństwu, grom i wszelkiej rozpuście, przy wrodzonych nader żywych namiętnościach, ludzie ci popełnialiby

zapewne daleko więcej jeszcze występów, gdyby nie religijność, która ich nigdy nie opuszcza. Są wszyscy niezmiernie gorliwymi katolikami i dla przyszłych rozkoszy niebieskich znoszą z cierpliwością wszelkie ziemskie niedole i umartwienia.

W stanach dalszych zachodnich jest ich także mnóstwo, ale tam nie cierpią takiej nędzy, jak w New Yorku. Niektórzy dorobili się niezawisłego bytu, inni wcale okazałych fortun, inni nawet milionów. Są solidarni aż do zbudowania, pomagają jedni drugim, trzymają się zawsze razem, głosują razem, tj. tak, jak im księża wskażą; nie zapominają o swej narodowości i metropolii, kochają Irlandię w dziesiątym nawet pokoleniu, nienawidzą Anglików i stanowią żywioł, z którym Ameryka bardzo się już musi liczyć, a w przyszłości jeszcze bardziej liczyć się będzie musiała.

Powodem tego jest nadzwyczaj szybki rozrost tej ludności. Irlandczycy płodni są jak króliki. Amerykanie zaś rodowici przeciwnie. Podczas kiedy w stadłach amerykańskich dwoje, a najwięcej troje dzieci stanowi największe przeciętne maksimum, pobożne małżeństwa irlandzkie, uważające dzieci za szczególniejsze błogosławieństwo boże, wydają ich na świat jak maku: "co rok prorok", jak mówi przysłowie, a tych "roków" zawsze jest bez końca.

Owa nadzwyczajna mnożność pożyteczna jest dotychczas dla Ameryki, której obszary w interesie państwa wymagają zaludnienia. W ogóle Irlandczycy grają już ważną rolę w Stanach Zjednoczonych, a przy tym są Stanom potrzebni i pożyteczni ze względów, o których sami Amerykanie może nie wiedzą, a wiedząc nawet – nie cenią. Oto wnoszą pewien pierwiastek idealny w to na wskroś zmaterializowane

społeczeństwo, utrzymując przez to szalę owych pierwiastków idealnych i materialnych w jakiej takiej pożądanej równowadze. Widzę, jak w tej chwili uśmiechają się koledzy moi pozytywiści, nie przestają jednak utrzymywać tego, co powiedziałem. Zbytńia przewaga usposobień idealnych jest dla danego społeczeństwa szkodliwa: wytwarza ona marzycielstwo, polityczną donkiszoterię, wyglądanie niebieskiej interwencji, wzdychanie w zimie, na wiosnę próżniactwo, ubóstwo i słabość. Wszystko to prawda niezaprzeczona, ale również prawdą jest, że wszelka jednostronność jest szkodliwą. Jeżeli chcecie narodu bez wszelkich pierwiastków idealnych, oto macie Chińczyków. Tam realizm doszedł do najwyższego rozwoju i wsiąknął tak dalece w usposobienie narodowe, że aż zatamował wszelki postęp i wszelkie wytwarzanie się potężnych idei, za które umieją ginąć i giną narody europejskie. Chińczycy, zabiwszy w sobie narodową fantazję, zabili zarazem wszelką inicjatywę nie tylko już w rzeczach społecznych, ale i w wynalazkach, naukach, sztukach; słowem: ztratili w sobie twórczość wszelką, której matką jest wyobraźnia.

Być może wreszcie, że natura ich skłonniejszą była do takiego kierunku, w jakim poszli; niemniej jednak wrodzone skłonności nie stanowią jeszcze wszystkiego; jak bowiem pierwotne skłonności mogą wpływać na rodzaj cywilizacji, tak następnie rodzaj tejże cywilizacji oddziałują na nie także w sposób dodatni lub ujemny. Owóż, moim zdaniem, społeczeństwo amerykańskie mimo wszystkich swych prawdziwie wielkich przymiotów wytwarza także cywilizację nader jednostronną, charakter zaś Irlandczyków stanowi w niej równoważnik, zarówno dla dobra całego tego społeczeństwa konieczny jak i pożyteczny.

Mają jednak i Irlandczycy swoje złe strony. Leniwsii są, zwłaszcza w pierwszym pokoleniu, od Amerykanów, bez porównania burzliwsi, pochopni do politycznych awantur: stanowią zatem żywioł, zwłaszcza w rzeczypospolitej, bardzo niebezpieczny. Pozostając przy tym bez żadnego wyjątku w ręku księży, mogą wytworzyć z czasem potężną partię klerykalną, która już dlatego w każdym państwie jest szkodliwą, że swoje wyłączne cele za najważniejsze uważa; w Stanach Zjednoczonych zaś może przy tym z upływem lat popsuć ową harmonię, w jakiej żyją dotychczas rozmaite wyznania religijne.

Ale wróćmy jeszcze raz do New Yorku. Jakkolwiek miasto to ze względu na brak wszelkich pamiątek historycznych, wspaniałych budowli, kościołów, galerii, muzeów, wreszcie przez swój nieporządek i brak smaku we wszystkim niesympatyczne czyni wrażenie, ma jednak i swe strony dodatnie, z których pierwszą i najgłówniejszą jest olbrzymi rozwój cywilizacji przemysłowej, przedsiębiorczość i energia mieszkańców, dowodząca niesłychanej żywotności tego młodego społeczeństwa.

ów nadzwyczajny rozrost miasta, zarówno jak i wszechświatowe już dziś jego znaczenie dla handlu, objaśnia się nie samym tylko jego położeniem geograficznym. Rio Janeiro i Buenos Aires równie, jeżeli nie lepiej jeszcze pod względem handlowym są położone, a jednak ani w dziesiątej części nie mają tego znaczenia tylko z tego powodu, że ludność ich pod względem przedsiębiorczości i energii nie może iść w porównanie z Jankesami. Dziś już New York wraz z Brooklin i Jersey City liczy przeszło milion mieszkańców, jeżeli zaś nadzwyczajne jakieś okoliczności nie staną dalszemu jego rozwojowi na przeszkodzie, za pięćdziesiąt lat będzie większy niż Londyn i Paryż razem wzięte.

Dwa dni pobytu nie starczyło mi oczywiście na dokładne zwiedzenie tego olbrzymiego grodu, który sam siebie empire city nazywa. Poznałem jednak jego części najważniejsze, których poznanie tym bardziej wystarczać powinno, że jak mnie zapewniano, inne nie różnią się od nich niczym więcej, chyba tylko większym jeszcze zaniedbaniem i większym nieporządkiem, dochodzącym do tego stopnia, że na ulicach leżą częstokroć zdechłe zwierzęta, na wzdętych ciałach których korzystający ze wszystkiego przemysłowcy przyklejają kartki z anonsami. Jest to szczególnie nader charakterystyczny, którego sam wprawdzie nie widziałem, ale o którym czytałem i słyszałem opowiadania naocznych świadków.

Z zakładów publicznych miejskich zasługuje jeszcze na wzmiankę Central Park, leżący na Broadway, a będący tym dla New Yorku, czym Lasek Buloński dla Paryża. Jest to park ani brzydszy, ani piękniejszy od innych parków miejskich, nie może jednak, moim zdaniem, iść w porównanie z Hyde Parkiem londyńskim ani nawet z Thiergartenem berlińskim. Zresztą mniej od tych obydwóch jest odwiedzany, albowiem mieszkańcy w dzień powszedni zajęci są biznessem, w niedzielę zaś, według amerykańskiego zwyczaju, siedzą po domach.

Pomiędzy kościołami, nie licząc kościołów Brooklinu, który tu miastem kościołów nazywają, nie masz ani jednego, który by na bliższą zasługiwał uwagę. Najznakomitszy jest Trinity Church, założony jeszcze przez Anglików. Jest to dosyć obszerny budynek z wysokimi, spiczastymi wieżami w stylu nieczysto gotyckim, ale do gotyckiego zbliżonym. Otacza go mały cmentarz, na którym dziś już ludzi nie chowają, ale na którym znajdują się groby kilku znakomitości amerykańskich.

Teatru narodowego amerykańskiego w wyższym słowa tego znaczeniu nie ma wcale ani w New Yorku, ani o ile wiem, w całej Ameryce. Teatra istnieją wprawdzie, i nawet z wszelkim przepychem urządzone, ale grają w nich i śpiewają po największej części zagraniczni artyści, europejskie znakomitości opłacone na wagę złota. Oczywiście sztuki przedstawiane są również pióra europejskich pisarzy, a jeżeli czasem trafiają się i oryginalne amerykańskie sztuki, stoją one niżej wszelkiej krytyki i uchodzić mogą za ledwie początki, które i na przyszłość nie rokują nic wielkiego.

Jeżeli z tego, co powiedziałem dotychczas wypada, że New York jako miasto ujemne raczej niż dodatnie czyni wrażenie, nadmienić teraz wypada, że mieszkańcy jego przedstawiają się jeszcze mniej sympatycznie. Mają oni wprawdzie wiele niepoślednich przymiotów, ale te dopiero po bliższym poznaniu ocenić można; na pierwszy rzut oka uderza przede wszystkim ich brak ogłady, gburowatość, niektóre dzikie przyzwyczajenia rażące nadzwyczaj każdego świeżego zza Oceanu przybysza. Oczywiście klasy najwyższe, ludzie bogaci, którzy podróżowali lub znaczną część życia spędzili w Europie, nie różnią się niczym od odpowiednich klas europejskich, ale ogół publiczności, tak jak on się przedstawia od razu badaczowi, odznacza się takim brakiem ogłady i delikatności w obyczajach, że nawet najzapaleńsi wielbiciele Amerykanów zgodzić się muszą, iż naród rzeczony pod tym względem niżej stoi od każdego innego w Europie. Obyczaje owe i przyzwyczajenia, o których teraz będę pisał, poznałem nie przez owe dwa dni, które spędziłem w New Yorku, ale po dłuższym z Amerykanami pożyciu.

Przede wszystkim tedy cudzoziemiec przybyły do Stanów na próżno by szukał tej uprzejmości i gotowości do wskazówek i objaśnień, z jaką spotyka się np. we Francji. Mieszkaniec Nowego Jorku wiecznie się śpieszy i zapytany np. o drogę, odpowiada najczęściej bez namysłu: "O! I don't know" (o! nie wiem), nie dlatego, żeby istotnie nie wiedział, ale że nie chce mu się namyślać i odpowiadać. Grzeczność francuska jest tu rzeczą zgoła nie znaną, jeżeli zaś nawet trafi się cudzoziemcowi spotkać z pewną uprzejmością, jest ona tak szorstką, tak jakoś niesmaczną, tak pełną gburowatej poufałości, że mimo woli chce się odpowiedzieć jak ów szlachcic spod Radomska: "Plus de confidence que de znajomance!" Powszechnie jednak o cudzoziemca nikt tu się nie troszczy. Powody tego można nawet łatwo zrozumieć. Paryż i inne miasta europejskie przyzwyczajone są do podróżników bogatych, podróżujących dla własnej przyjemności i należących najczęściej do najwyższych klas społecznych. W Ameryce jest co innego. Niezmiernie liczną klasę podróżnych stanowią emigranci, biedni, częstokroć z bardzo ciemną przeszłością, sami na koniec pozbawieni ogłady i dopytujący się o wszystko celem dopytania się do amerykańskich kieszeni. Z tego powodu rodowity Amerykanin patrzy na przyjezdnych z pewną nieufnością, a z drugiej strony, jeżeli przyjezdny wypadkiem nie jest emigrantem, a jest człowiekiem zamożnym i urodzonym albo bardzo urodzonym, wówczas patrzy z wysokości swych europejskich pojęć i swego europejskiego znaczenia na owe szorstkie, demokratyczne dzieci Ameryki. Wszystko to nie może dodatnio wpływać na uprzejmość w obustronnych stosunkach i opiniach. Jeżeli teraz dodamy jeszcze istotną wrodzoną gburowatość Amerykanów, zrozumiemy łatwo, że zwłaszcza początkowe stosunki z nimi stają się prawie nieznośne.

Wreszcie Amerykanie sami wiedzą dobrze o tej gburowatości; niektórzy, zwłaszcza oświeceńsi, starają się nawet wyleczyć z niej siebie, i swych braci; większość jednak uważa ją za pewną republikańską i demokratyczną cechę narodową i skutkiem takiego poglądu raczej szczyć się z niej, niż poprawić się jest gotowa.

Jest to równie często spotykany jak i głupowaty objaw miłości własnej. Tak narody całe jak i pojedynczy ludzie przez rozmiłowanie się zbyt w samych sobie dochodzą do tego stopnia głupoty, że nawet na wady swoje patrzą przez szkła różowe, jakoby na coś takiego, co szczególniejszy stanowi ich przymiot, którym górują nad innymi. Objaw tej słabości w pojedynczych ludziach każdemu zaobserwować nader łatwo. Jeżeli pan Jacek może i odważa się wypić od razu garniec wina, dla ludzi obdarzonych zdrowym rozsądkiem jest to tylko dowód, że pan Jacek jest prosięciem; ale pan Jacek z dumą zawsze wspomina o tych swoich zdolnościach i gotów jest nawet wyzwać na rękę każdego, kto by mu ich stanowczo zaprzeczał. To uwielbienie nawet ujemnych stron własnych dochodzi do tego stopnia, że słyszymy często ludzi mówiących: mój paraliż, mój katar żołądka, mój wściekły charakter itp., z pewnym odcieniem nie już pobłażania, ale jak gdyby chluby. Między narodami dzieje się, jak wspomniałem, podobnie.

Amerykanie pod tym względem nie stanowią wyjątku. Uważają się przy tym za najpierwszy naród na świecie; tymczasem większa część wykształceńszych przybyszów skłonna jest raczej twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych istnieje państwo, ale nie ma narodu w ścisłym europejskim tego słowa znaczeniu. Według powyższych opinii jest to wielki zbiór ludzi wszelkich narodowości, handlujących, sprzedających, pracujących w roli lub przemyśle, urządzonych w wielką spółkę,

zorganizowanych w pewien kształt państwowy pod takimi a takimi prawami, ale pozbawionych wszelkich cech, jakimi zwykle odznacza się każdy jednolity naród.

Do pewnego stopnia jest to nawet prawda, ale o ile ona jest bezwzględna, nie będę teraz rozstrzygał, chcę bowiem mówić o pewnych poszczególnych zwyczajach, które, jak mam nadzieję, więcej będą zajmować moich czytelników. W czymże tedy objawia się ów brak cywilizacji obyczajowej, o której wspominałem powyżej? Mogę odpowiedzieć: we wszystkim; a zresztą niech sam czytelnik osądzi. Do godziny czwartej lub piątej po południu każdy prawie z mieszkańców tak New Yorku, jak w ogóle i całej Ameryki pracuje z gorączkową namiętnością nad zrobieniem fortuny, która to stanowi główną wartość człowieka, co nawet wyraziło się i w języku, nie mówią tu bowiem: człowiek ma tyle a tyle, ale: wart jest tyle a tyle. Wieczorem wszelkie zajęcia kończą się i następuje obiad, po którym z kolei odpoczynek. Każdy należący do średniej klasy Amerykanin (bo powtarzam jeszcze raz, że nie mówię o klasach wyższych) wydobywa wówczas z kieszeni kłak tytoniu, ucina go scyzorykiem, pograża w ustach i poczyną żuć ze smakiem. Jednocześnie z tą czynnością siada na biegunowym krześle, zakłada nogi na stół lub na okno i nie chowając scyzoryka kraje nim, co mu popadnie pod oczy, chociażby poręcz krzesła, ramę okna; jeżeli się rzecz dzieje w ogrodzie, to kratę werendy; na koniec stół lub wreszcie cokolwiek bądź innego. Owo krajanie scyzorykiem tak dalece wsiąkło w naturę tych ludzi, że wielu z nich nosi umyślnie na ten cel przeznaczone kawałki drzewa. Częstość takie zajęcia służy także do pokrycia głupoty lub braku zasobów umysłowych. Jeżeli Amerykanin znajduje się wypadkiem w towarzystwie cudzoziemców, z którymi pod żadnym względem nie stoi na równi, wówczas niezawodnie będzie coś krajał scyzorykiem i milczał pogardliwie niby dla okazania, że jak

prawdziwy republikanin i demokrat nic sobie nie robi z owej wykwintności i ogłady, których w głębi duszy innym zazdrości i których braku się wstydzi.

Ohydny zwyczaj żucia tytoniu zmniejsza się już wprawdzie, zwłaszcza po większych miastach, coraz bardziej, ale i dziś jeszcze jest dość powszechny. Rzuciwszy okiem na pierwsze lepsze zgromadzenie ludzi dostrzeżesz, że większa część mężczyzn porusza systematycznie szczękami, jakby należała do zwierząt przeżuwających, i spluwa co chwilę obrzydliwy sos tytoniowy; przy czym policzki ich, wypchane od wewnątrz tytoniem, wyglądają jak gdyby napuchłe. W hotelach i restauracjach, gdzie tylko są marmury, znajdują się także i drukowane ostrzeżenia proszące publiczności, aby raczyła spluwać w spluwaczki, nie zaś na marmury, które się od tego plamią i psują. Wreszcie spluwaczki znajdują się w ogromnej ilości wszędzie, tak w mieszkaniach prywatnych, jak i w miejscach publicznych.

Ale gburostwo amerykańskie nie w tych tylko zwyczajach się uwidocznia. Amerykanie wstają od stołu nie dziękując sobie wzajemnie za towarzystwo; witają się prostym kiwnięciem głowy lub ręki; w rozmowie trzymają się wzajemnie za guziki lub klapy od surdutów, co tak dalece jest rozpowszechnionym, że ma miejsce nawet między służącymi a panami; na koniec, nie zdejmują kapeluszków nawet w mieszkaniach prywatnych, a surduty zrzucają wszędzie, nawet wobec kobiet lub w miejscach, których sama powaga przyrodzona na podobne postępowanie nie zezwala.

W New Yorku nie byłem wprawdzie z braku czasu w żadnym z urzędowych miejsc publicznych, ale zdarzyło mi się w parę miesięcy później być na sądzie przysięgłych w Sacramento, w stolicy Kalifornii. Cóż powiecie, czytelnicy? Sędzia prezydujący siedział na osobnej katedrze męczony przez głośną czkawkę, i poruszając jak wół szczękami wypchanymi tytuniem, wodził omdlałym wzrokiem po zgromadzeniu; sędziowie przysięgli, bez surdutów, żując również tytuń, leżeli raczej, niż siedzieli na swych krzesłach, z nogami pozakładanymi na pulpity; adwokaci również byli tylko w kamizelkach i publiczność trzymała nogi wyżej głów, a kapelusze na głowach; wszyscy chrząkali, pluli, jakby pobierali za to osobne pensje, całość zaś zgromadzenia na mnie, przyzwyczajonym do powagi i uroczystości sądów europejskich, zrobiła wrażenie jakiejś brudnej niemieckiej knajpy, o której można powiedzieć, że tym oddycha się swobodniej, im prędzej się ją opuszcza.

Zapewniano mnie, że w miastach pomniejszych wszystko jeszcze bez porównania gorzej wygląda. Można by wreszcie darować sądom tym ich republikańską prostotę i nieobyčajność, gdyby również republikańskimi były ich sumienia i sprawiedliwość w wydawaniu wyroków. Ale sami Amerykanie przyznają, że nie masz więcej złodziejskiego sądownictwa na świecie, jak ich własne. Jeżeli tu chcesz suchą nogą przejść przez błoto, posmaruj sprawiedliwość, jak mówi stary John, a sprawiedliwość posmaruje ci buty. Jest to jedna z większych prawd na świecie. Zresztą odnosi się to nie tylko do sądownictwa, ale do całego systemu administracji w Stanach Zjednoczonych; nigdzie bowiem zapewne sumienie publiczne nie jest tak uśpione, jak tutaj. Przyczyny tego łatwo czytelnicy zrozumieją. Pensje urzędników w ogóle są bardzo niewielkie, emerytur nie ma wcale, a przy tym ustawiczna walka partii republikańskiej z demokratyczną i ciągle przechyłanie się zwycięstwa to na jedną, to na

drugą stroną nigdy nie pozwala jednym i tym samym osobom utrzymać się dłużej przy urzędach. Każda partia przychodząc do władzy wypędza natychmiast wszystkich urzędników dawniejszych z zajmowanych posad, a obsadza je swymi stronnikami, którzy uważają to za nagrodę i wiedząc przy tym, że dłużej nad rok lub dwa miejsca nie zagrzeją, starają się wyciągnąć z niego wszelkie możliwe korzyści.

Jest to system do najwyższego stopnia wadliwy i wszystkie owe ogromne złodziejstwa, o których tyle piszą gazety tutejsze i zagraniczne, są tylko bezpośrednim jego wpływem. Ale swoją drogą system ten tak dalece zrośnięty jest z instytucjami republikańskimi Stanów, tak dalece stanowi zasadniczą ich istotę, że odmienić go prawie niepodobna.

Gdyby na koniec system ten i był wreszcie odmieniony, wyrosłoby z tego zło inne. W każdej republice, jakąkolwiek ona jest, należy, aby urzędnicy na wszelkich posadach działali w myśl rządu, to jest narodowej rządzącej większości; inaczej zawsze zrodzi się stan rzeczy podobny do tego, jaki przed niedawnym czasem istniał, a pod pewnym względem dziś jeszcze istnieje we Francji, gdzie rząd jest republikański, urzędnicy monarchiczni, a w tym rozdrożu między Sasem a Lasem kręci się oszołomiony naród nie wiedząc, jak wyjść z tego zaczarowanego koła i gdzie iść dalej.

Nie w zmianach tedy systemu, nie w przewrotach instytucji państwowych leży *salus reipublicae*, ale w radykalnej reformie wychowania przyszłych pokoleń obywateli i w oddziaływaniu przeciw rozpowszechnionemu a Ameryce mniemaniu, że pieniądz tylko stanowi wartość człowieka, a korzyści materialne i użycie – jedyny cel, za

którym ubiegać się warto. Zrozumieli to Amerykanie, należy oddać im sprawiedliwość, i dlatego wychowanie powierzyli po największej części w ręce kobiet, które z natury bardziej idealne, oddziaływają też w tym duchu i na młodzież.

Jest to ten sam wzgląd, dla którego właśnie nie uważałbym za stosowne powierzać u nas wychowania w ręce kobiet, albowiem nasze społeczeństwo stanowi pod względem usposobień, można rzec, przeciwny biegun społeczeństwa amerykańskiego. Przenoszenie żywca i na ślepo obcych instytucji dlatego tylko, że one gdzie indziej zbawienne są i dobre, może być bardzo dla nas szkodliwym i kto by tak czynił, byłby podobny do owego doktora amerykańskiego, który wszelkie słabości leczył aloesem, twierdząc, że czy pacjent przychodzi do zdrowia, czy umiera, on jako doktor zawsze tylko dopomaga naturze.

Powinni u nas pamiętać o tym ci, którzy skądinąd istotnie niosą naprzód chorągiew oświaty krajowej.

Ale w Ameryce jest rzecz inna. W Ameryce powierzenie wychowania kobietom ma jeszcze tę nieskończenie dobrą stronę, że wpływa ogromnie na wzrost cywilizacji obyczajowej, która tak nisko tu stoi. Nauczyciel mężczyzna nie ma i nie może mieć takiego wpływu obyczajowego na swoich wychowañców, jak kobieta delikatna i dobrze wychowana, której sama obecność każe tak na wpół dzikim pauprom, jak ich ojcom hamować porywy nieokrzęsanych namiętności. Łatwiej to jeszcze zrozumiemy, gdy przypomnimy sobie szacunek, jaki otacza tu kobiety. Istotnie pod względem wpływu na obyczaje powołanie nauczycielek jest w Stanach Zjednoczonych prawdziwą misją. Ja sam znam pewną szkółkę nad rzeką Cosumnes albo po indyjsku: Makosine,

w Kalifornii. Okolica ta jest prawie jeszcze dzika; Indianie, którzy ustąpili z niej niedawno, tułają się tu i owdzie; mieszkańcy składają się z uboższych farmerów, pastuchów owiec, górników, czyli przemycaczy złota, i na koniec z Chińczyków, których tu wszędzie jest pełno. Łatwo zrozumieć jak nieokrzesane i pełne dzikich instynktów jest to niedawno osiadłe i złożone z tak różnorodnych żywiołów społeczeństwo.

Otóż, wyobraźcie sobie, że wpośród tych niesfornych żywiołów istnieje szkółka, do której mieszkańcy muszą posyłać swe dzieci, a w szkółce jest nauczycielką młoda miss, wątła, drobniutka, delikatna jak mimoza, przyzwyczajona i do innego życia, i do innego otoczenia. Ale trzeba widzieć, jak pierwszy lepszy gbur okoliczny czuje się wobec niej skrępowany, jak obraca kapelusz w rękę; nie wie, co robić, jak usiąść i co myśleć o tym zjawisku, którego oczy jego nie nawykły wcale oglądać. Wobec niej nikt tu sobie nie pozwoli grubiańskich żartów ani przekleństw “na oczy i duszę” bliźniego, bo każdy instynktownie czuje całą niestosowność takiego postępowania; a kto by wreszcie jej nie czuł, tego wkrótce nauczyłyby rozumu pięści i rewolwery sąsiadów. Łatwo z tego wyciągnąć wniosek, że nie tylko przyszłe pokolenie, ale nawet i terażniejsze pod podobnym wpływem mięknie i uczy się łagodniejszych obyczajów.

Przebiegając ze strzelbą brzegi Cosumnes i okoliczne góry, kilkakrotnie znęcony ciekawością i – mamże wyznać? – wdziękami nauczycielki, zaglądałem do owej stojącej samotnie szkółki. Jest to niewielki dom obejmujący tylko jedną salę. W sali stoją ławki urządzone według najnowszej metody higienicznej; na ścianach wiszą mapy Stanów Zjednoczonych, Europy i pozostałych części świata; między mapami zaś wisi napis upleciony z nieśmiertelników przez same dzieci: “Knowledge

is power” (noledź is pauer): “Wiedza to siła”. Naprzeciw ławek stoi katedra, której jednak nauczycielka najczęściej nie zajmuje, ale chodząc między ławkami, prowadzi swoje wykłady sposobem, można powiedzieć: perypatetycznym. Przy tym, ponieważ dzieci przychodzące znajdują się na rozmaitych stopniu rozwinięcia, każde więc niemal trzeba uczyć osobno. Nauka czytania, pisania, arytmetyki stoi oczywiście na pierwszym planie, ale oprócz tego wykłady obejmują także i zoologię, botanikę, geografję itp. System nauczania przyjęty jest doświadczalny i istotnie niezmiernie praktyczny, znany już zresztą wszędzie. Naukę geografii rozpoczyna nauczycielka od domu, w którym stoi szkoła, przy czym dzieci dowiadują się rzeczy arcypożytecznych: jak się stawia domy, na co izby są potrzebne itd. Poznawszy szkołę, poznają country, w której szkoła się znajduje, miasteczka, rzeki, następnie całą prowincję, następnie Stany Zjednoczone; nauczycielka coraz bardziej rozszerza widnokrąg ich wiedzy, dopóki nie obejmie całej ziemi. W nauce zoologii i botaniki dzieci poznają przede wszystkim faunę i florę własnych okolic; widzą mnóstwo roślin, na które patrzą zresztą codziennie, przechodząc z farm do szkoły; ale nauczycielka wyklada im szkodliwe lub pożyteczne własności; tak samo obznajmia wychowalców i wychowanki ze zwierzętami, minerałami itp.

Jest to system wyborny, dzięki któremu w całych Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w młodym pokoleniu, nie ma człowieka, który by nie umiał czytać, pisać, rachować, nie rozumiał się na polityce, słowem: który by nie był mniej więcej przygotowany do zawodu obywatelskiego. Jest także równie niepłonna, jak uzasadniona faktami nadzieja, że szkoły takie i nauczycielki wpłyną również na rozbudzenie się uczciwości obywatelskiej i sumienia publicznego, którym teraz chyba młode koty tu się bawią.

Szkół podobnych do wyżej opisanych jest mnóstwo. Gdzie tylko w pustyni powstaje kilka farm, tam wśród Indian jeszcze, bawołów, niedźwiedzi, "gryzli", jaguarów i grzechotników powstaje natychmiast i szkoła, do której dzieci chodzą czasem o kilka mil odległości codziennie. Żadne państwo nie wydaje tyle na wychowanie, ile Stany Zjednoczone, ale żadne też nie osiągnie w niedalekiej przyszłości tak znakomitych w wychowaniu rezultatów.

Wychowaniem młodzieży, zwłaszcza elementarnym, zajmują się prawie wyłącznie kobiety. O dobrych stronach tego systemu już mówiłem, teraz wspomnę o złych, bo każdy medal na świecie ma swoje dwie strony. Oto każda nauczycielka jest po największej części "interesting young lady", w której samotność rozwija do wysokiego stopnia usposobienie romansowe, młodość zaś i krew gwałtu krzyczy na pustyni. Skutkiem tego zdarza się najczęściej, że jaki młody rycerz pustyni, jaki traper lub farmer, ubrany przez panięńską wyobraźnię w tęczę kolory bohaterstwa, wsiąka w tę wyobraźnię jak potoki dżdżu w ziemię, a potem następują "widywania się pod jaworu drzewem", potem ciche "jam twój – ty moja – tyś mój" i inne zaimki dzierzawcze odmieniane przez wszystkie przypadki; potem jeszcze małe: "na wieki, ach! na wieki!", a na koniec, jak mówi Słowacki:

.....rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Oczywiście skutkiem tych rzeczy moralność i obowiązki nauczycielskie akurat tyle tracą, ile diabeł zyskuje. Szczęściem w tym kraju, na mocy interwencji państwa, takie stosunki są drabiną, z której się albo szyję

łanie, albo nieodmiennie idzie przed ołtarz. Dobrze to napisać, choćby na użytek moich ziomków, którzy wszędzie za granicą pod tym względem dziwnie są przedsiębiorczy.

A teraz kilka słów o kobietach amerykańskich. Pod wieloma względami kobiety amerykańskie niższe są od europejskich, i owo dobitne rzymskie określenie: domiseda, lanifica, pia – żadną miarą do Amerykanem zastosować się nie da. Tu powszechnie taki jest stosunek: mąż pracuje, żona panuje i używa darów bożych, jak jej się podoba. Można by tu słusznie, na wzór owego starosty austriackiego, który powiesiwszy na drągu kapelusz kazał mu się kłaniać Szwajcarom, powiesić na drągu pantofel. Rozkaz kłaniania mu się jednak byłby zupełnie zbyteczny, bo każdy mąż, jeśliby tylko chciał być szczerym, zdjąłby przed nim kapelusz z własnej woli. Amerykanki stroją się więcej jak wszystkie kobiety na świecie. Stojąc przez pół godziny na Broadway w New Yorku, więcej widziałem rozmaitych sukien jedwabnych i kaszmirowych, czarnych, żółtych, zielonych, pstrych i czerwonych, niżbym mógł zobaczyć na bulwarach w Paryżu. Niewiele w tym wszystkim smaku, ale wiele przepychu. W hotelach na obiady przychodziły damy postrojone jak na bal, w złotych manelach, zausznicach, naramiennikach itp. Są przy tym nadzwyczajnie śmiałe, wyzywające i kokietki do tego stopnia, że słusznie można rzec, iż role tu zostały zmienione i stroną prowokującą jest kobieta. Nie brak tu “niebieskich pończoch”, ale w ogóle wieści, jakie krążą o wykształceniu Amerykanek w Europie, są do wysokiego stopnia przesadzone. Owszem, przeciętne wykształcenie kobiet w Europie, moim zdaniem, jest daleko wyższe. Panny tutejsze prowadzą życie nader swobodne i mało jest takich, których przeszłość nie miałaby pewnej historyjki wynikłej już to ze zbyt gorliwego uprawiania związku zwanego “flirteszyn” (flirtation), już to bez “flirteszyn”. “Ja nie patrzę w przeszłość mego męża, niechże i on w moją nie patrzy” – oto jest

zdanie bardzo utarte między Amerykankami, które doprowadziłyby zapewne do większych nadużyć, gdyby temperament ich energiczny, ale chłodny, i pewna przewaga rozumu nad uczuciem nie stanowiły bardzo silnego hamulca.

Cudzoziemcy mają tu wiele powodzenia u kobiet ze względu na swą ogładę i wykwiutność, którą nad krajowcami celują; często jednak biorą fałszywą monetę za dobrą, a jeżeli i znajdują istotnie dobrą, to tym gorzej dla nich, bo jak wspomniałem, ołtarz jest konsekwencją, lada nie winy nawet, ale lada nieostrożności.

Zresztą kobiety amerykańskie nie są piękne. Brak w ich rysach rasy i dystynkcji, ale to tym nieznośniejszym czyni ich despotyzm. Despotyzm ten daje się czuć wszędzie: w domach, na kolejach, w wagonach, a nawet na ulicach, gdzie powożące ladies jeżdżą jak szalone, nie dbając, że kogoś mogą rozjechać. Prawo nie tylko nie kładzie despotyzmowi pewnej miary, ale bierze go nawet w opiekę. W Kalifornii zapadło niedawno postanowienie, że mąż, który by bił swoją żonę, otrzyma dwadzieścia jeden bizunów ze skóry bawolej. Dlaczego dwadzieścia jeden, nie dwadzieścia lub dwadzieścia pięć? – są to tajemnice amerykańskiej legislatury. Koniec końcem, kto się nie uwinął zawczasu, temu teraz zamknięta droga na wieki.

Gdyby istotnie surowość mężów przechodziła tu granice i gdyby prawo takie zapadało wskutek istotnych nadużyć, można by je jeszcze wyrozumieć; ale w kraju, gdzie mąż pracuje jak cztery konie, żona zaś kołysze się również cały dzień na biegunowym krześle, po powrocie zaś małżonka przyprawia go takim sosem, z jakim jej się podoba, jest to tylko dolewanie oliwy do ognia. Rozsądni ludzie śmieją się tedy z tego

niewczesnego wysokoku filantropii, niektóre zaś dzienniki twierdziły, że odtąd wszelki małżonek, mający ochotę wybić połowicę, musi wyjechać z Kalifornii do innego stanu i nie wracać aż dopiero po dokonanej operacji. Przepowiadają wskutek tego znakomite powiększenie się ruchu na kolejach, wątpię jednak, czy urzędnicy kolejowi, zwłaszcza żonaci, wierzą w tę przepowiednię choć trochę.

Szacunek, jakim tu otoczona jest kobieta, łatwo wyjaśnia się tym, że – mówiąc językiem handlowym – popyt tu na płęć piękną daleko jest większy od podaży. Kobiet w ogóle w Ameryce jest mało, w nowo zaludniających się zaś okolicach tak mało, że zaledwie jedna na dwudziestu lub trzydziestu mężczyzn przypada. Tym się tłumaczy, że nawet bardzo nieokrzesani i pozbawieni wszelkiej ogłady ludzie obchodzą się tu z kobietą jak z czym szklanym.

Grzeczności jednak amerykańskich nie należy brać za jedno na przykład z francuską lub w ogóle z europejską. Amerykanin zdejmując przy kobietach surdut itp., słowem, postępuje według swoich zwyczajów, które raczej za niegrzeczność lub lekceważenie poczytałaby każda Europejka. Ale gdy francuska uprzejmość ma najczęściej na celu zdradę i chęć skorzystania z dobrej sposobności, tu kobieta jest zupełnie bezpieczna: sto pięści i sto rewolwerów podniesie się każdej chwili na zuchwalca, który by śmiał jej w jakikolwiek sposób ubliżyć. Nic dziwnego, że kobiety wiedzą o tym i uważają się za jakieś wybrane istoty, którym cześć czysto religijna jak Panu Bogu się należy.

W ogóle Europejczycy mają pod wieloma względami fałszywe o Amerykanach i Ameryce wyobrażenie. Wspomniałem o religijności; niech mi więc wolno będzie pobieżnie i o tej stronie życia tutejszego

wspomnieć. Społeczeństwo amerykańskie uchodzi za najreligijniejsze na świecie. Ludzi wątpiących istotnie nie ma tu wcale, przepisy religijne zachowywane są najściślej, w niedziele i święta głucha martwota upada na wsie i miasta, sklepy są pozamykane, fiakry i omnibusy nie kursują prawie zupełnie; w teatrach nie grają, miejsca publiczne są puste; słowem, powaga tu i uroczystość większa niż wszędzie na świecie. Ale wejrząwszy w to bliżej, widzimy w tym raczej wpływ zwyczaju nie wdającego się w żadne rozumowania niż żywotnej, gorącej, świadomej siebie wiary. Społeczeństwo tutejsze nadzwyczaj jest pozytywne; nad rzeczami nie mającymi związku z rzeczywistością, z korzyściami materialnymi, z czymś, co się da uchwycić i obrachować, nikt tu nie łamie sobie głowy. Kwestie takie, jak początek wszechrzeczy, istnienie Stwórcy, nieśmiertelność duszy i tym podobne, które odgrywają tak potężną rolę w umysłach młodzieży europejskiej, uniwersytetów, filozofów i ludzi nauki, a które tak często prowadzą naprzód do filozoficznego bankructwa, a potem do zwątpienia, łatwo udzielającego się ogółowi, tu nie mają najmniejszej wagi. Żaden naród na świecie nie jest mniej zdolny do wszelkiej refleksji filozoficznej jak Amerykanie. Tu każdy więcej żyje życiem czynów niż myśli, więcej zajęty handlem, przemysłem, rolą itp., o racje religijności się nie pyta. Przychodzi niedziela, Amerykanin idzie więc do kościoła, bo tak chce zwyczaj; czyta pobożną książkę, bo tak chce zwyczaj; siedzi w domu, bo wszyscy siedzą w domach; kto tam wie jednak, czy w tej całej religijności nie masz więcej rutyny i mechanicznego przyzwyczajenia niż prawdziwego uczucia.

Z drugiej strony mnóstwo sekt i emulacja między nimi, walka z potężniejącym coraz katolicyzmem zabarwia cokolwiek owe uczucia religijne polityką, która bądź co bądź, jeżeli jest bodźcem, to jest bodźcem czysto światowym. Wyznawcy danej sekty starają się ją podtrzymać i rozszerzyć, muszą więc dawać z siebie przykład.

Stronnictwo zawsze przywiązuje do siebie, a wskutek poplątania interesów ogólnych z osobistymi rodzi stronników, którzy tyłoma już węzłami są z nimi spojeni, że odłączyć się ani chcą, ani mogą, choćby dla głównej zasady byli chłodni.

Natomiast każdy Amerykanin ową wolność religijną uważa za perłę konstytucji Stanów Zjednoczonych, a chcąc tę wolność zmanifestować, musi spełniać gorliwie wszelkie obrządki sekty, do której należy.

Pierwszy jednak przytoczony przeze mnie wzgląd jest najważniejszy. Business nie pozwala rozstrzygać transcendentálnych kwestii, zatem nikt ich nie rozstrzyga i sprawy religijne idą tak, jak każe zwyczaj i pamięć ojców.

Na tym kończę ten pobieżny rys o Ameryce i Amerykanach w ogólności, o New Yorku zaś w szczególności. Do wielu kwestii w nim poruszonych przyjdzie mi jeszcze nieraz powrócić. Tu tylko nadmienię, że jakkolwiek wytknąłem wiele ujemnych stron tego społeczeństwa, jednakże o przyszłości jego wcale wątpić nie należy. Posiada ono jeden potężny warunek, oto: wszelką możliwość rozwoju; młode jest przy tym, dzielne, energiczne nad wszelki wyraz. Wady swoje rozumie i stara się je poprawić, a ponieważ odważne jest, próbuje więc wszelkich środków i sposobów. Wiele z tych środków okaże się zapewne błędnymi, ale przed próbą nikt się tu nie cofnie. Postęp nie czeka tu na zmiłowanie boże i na to, żeby w innych krajach poszli ludzie o sto mil dalej. Nikt tu nie woła na Francję, Anglię i Niemcy: "Hej tam, chłopyszku, czekaj, spróbuję i ja!" Tu próbują naprzód wszystkiego. Ślepy i spróchniały konserwatyzm, który na widok lada czego, na widok, dajmy na to, nowo

wynalezionych przez panią Ćwierciakiewicz naleśników, kiwa gdzie indziej głową i mówi: “Mój Boże, za moich czasów nie jadalśmy naleśników, a jednak...” itp., taki konserwatyzm, powtarzam, miałki i drobnostkowy, nie siedzi w kształcie klina w większości głów amerykańskich, dlatego głowy te myślą i obmyślą zapewne dla siebie to, co im się będzie zdawało najlepszym.

W następnym liście przejdę wprost do skreślenia wrażeń z moich podróży koleją Dwóch Oceanów.

Henryk Sienkiewicz

Tekst ukazał się na stronie **Magazynu Zapisz**